TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azji, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 37. Chicago, Ill., Czwartek, 15-go Września, 1898. Rok XII

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKOW.

(Ciąg dalszy.)

— Spuść Lela i Polela!

Nad wiek swój szybciej podbiegła klucznica pod drzwi stajenne, gdzie uwiązane na silnych obrożach, rozdrażnione krzykiem i walką toczącą się blizko nich, rwały się dwa ogromne brytany; ręka znajomej staruszki, co im zawsze żywność podawała, bez trudu uwolniła kosmate szyje nowych zapaśników, a Lel i Polel jak dwie strzały poskoczyły ku ostrokołowi i poczęły podskakiwać zażarcie ku zwieszającym się z niego stopom. Biada tym, co nie dość wcześnie cofnąć się potrafili, których choć koniec łyczanego obuwia dostał się pod zajadłe kły brytanów; krzyki, klątwy i jęki, równie jak krew spływająca po kłodach, świadczyły, że oblężonym dzielna pomoc przybyła. Rozszalałe zwierzęta, nie zaspokoiwszy swego zapału należycie, poczęły obiegać wnętrzne podwórza, trzymając się ogrodzenia, bo pod niem najbliżej czuły nieprzyjaciół i słyszały ich ruchy; to je też ocaliło, bo z zewnątrz spadł grad szczap i głazów w podwórze, lecz te pociski, padając na środek dziedzińca, nikomu nie szkodziły.

Cały dzień zszedł w ten sposób. Oblegających było mnóstwo, mogli więc spoczywać na przemiany, niepokojąc tu i owdzie ściśniętych dokoła mieszkańców zameczku, ale ci, zmuszeni pilnować i bronić się na

wszystkie strony, upadali prawie ze znużenia. Stara klucznica podawała wszystkim po kolei wodę, żur przeważony z chlebem, a w południe świeżo wydojone mleko, by jakkolwiek siły walczących utrzymać, bo należytym posiłku nie było czasu myśleć, ale poglądając po sobie wzajem widzieli wszyscy, że się tak długo utrzymać nie będzie podobna. Małgorzata, patrząc na bladą twarz i chwiejącą się postać siostry, kazała jej iść do sypialni i położyć się spokojnie, zaręczając, że po niedługiej chwili zbudzi ją do roboty. Na wierne sługi swoje nalegała, by podczas przestanków w walce starali się nabrać sił nowych w spoczynku i pożywieniu się, którem wyłącznie zajęta Świerkowa, ustawiała obficie dzbany i misy po stołach i ławach.

Młoda kobieta sama zdawała się niestrudzona i nieustraszona, pomimo, że jakby dokoła czarodziejskiego kręgu, wrzały i huczały głosy wzburzonych i zawziętych, a teraz już i mściwych duchów, podrażnionych zawziętym oporem tam, gdzie zdawało im się, że wejdą bez trudności i straty. Już się miało ku wieczorowi, gdy powoli ucichły szmery i groźne poruszenia. Odetchnęli oblężeni, lecz z ciekawością rzucili się do górnych okien i spostrzegli że część oblegających rozbiegła się ku włości, a niezadługo ujrzeli ich wracających Każdy miał w ręku lub na ramieniu łopatę, lub motykę: widocznie do innych celów inny sobie sprowadzili oręż. W niedługą chwilę Zembocińska pani usłyszała pod ostrokołem niedaleko od bramy złowieszczy stuk żelaznych narzędzi; znać postanowiono podkopać ogrodzenie

Słyszycie? — zapytała dwóch swoich towarzyszy — to będzie źle!

Słyszymy odparł Biernat uspokójcie się, pani, niech się pobawią! Myślą oni, że tu powtykano kołki byle stały, ale ich tam blizko tyle w ziemi, co na wierzchu; a jeszcze jak dobrze trafią, to się znajdą i samołówki, założone na dzikiego zwierza.

Stary tryumfował widocznie, znał dobrze siłę ogrodzenia, ale Małgorzata nie miała w jego trwałość tyle zaufania i czoło jej dotąd nieugięte pochyliło się nieco; widziała, że dość było jeden lub dwa pieńki poruszyć, by dla całej tłuszczy wejście otworzyć. Na razie jednak nie było co robić: nastała chwila przymusowej bezczynności wewnątrz, zewnątrz za to ochoczo, z krzykami i pogróżkami trwała usilna praca.

Naraz od lasu dał się słyszeć odgłos myśliwego rogu, towarzyszyły mu przeciągłe tony ligawki; przerwano kopanie, po chwili milczenia porzucono narzędzia, postawiwszy przy nich kilku wyrostków, kilku pozostawiono, jakby dla straży, przy bramie. Tymczasem niezwykłe o tej porze dźwięki powtarzały się coraz, łącząc się z brzękiem i rozmaitą gędźbą, zdawało się, że jakaś ochocza gromada spieszy w pomoc oblegającym. Przez chwilę zdawało się, że podedworem jakieś było wahanie, potem narada, na koniec wołania:

— Pójdźmy! pójdźmy! toż nam ztąd nie uciekną; jak wrócim to się znowu poszarpiemy: może skuteczniej, więcej nas będzie — zuchwałe głosy przy stukaniu we wrota wołały:

Pójdźcie z nami! Na sobótkę, na wesołą! Pójdźcie piękne panie!

Niezadługo jednak jedni za drugimi poczęli się rozchodzić ku lasow; byli tacy co chromali, niektórych prowadzili drudzy, mocniej trafieni dawno już pociągnęli do włości, lub ich inni ponieśli, dość, że w pewien czas już tylko ustawieni na czatach pozostali pod zdobywaną twierdzą.

— Co im się stało? — zapytała nakoniec Małgorzata, dziwiąc się ciszy i spokojowi, który tak niespodziewanie gwar i wrzaski zastąpił.

— Jutro świętego Jana! — rzekł Biernat to sobie dziś sobótkę wyprawiają.

— Dawno o tem gadali — przerwała Świerczyna — i pozamawiali sobie gęślarzy i gęślarki z daleka. Trąbilić na nich. Będą hulać dopiero!

Na obszernej wpośród lasu polanie zebrała się cała ludność włości: nie ci tylko, którzy się dobijali do dworu, ale kobiety i dziewczęta pozostałe po chatach, stare niewiasty prawnuki już kołyszące, a pamiętne niejednego pogańskiego obrzędu, co się za Masława tu i ówdzie po kraju ukazywał, ciekawe były, czy też teraźniejsze sobótki

podobne będą do tych, które im z młodych lat jeszcze w pamięci pozostały. Tłumy te kroczyły w leśnej pomroce, pilnie czegoś szukając; na środku polany z gładkich i cienkich sosnowych pni ułożono stos obszerny; siedm na podstawę, pięć na drugą warstwę i trzy na wierzchołek ułożono kraciasto, przerzucając głogiem, tarniną i innemi krzewy. Na głazach w półkole zatoczonych posiadali przybyli goście: dwóch starców siwobrodych, trzymających w rękach muzyczne narzędzia obwinięte zielenią, kobiety dźwigające pęki ziół rozmaitych, kilka pacholąt z brzękadłami, silny strzelec z dalszego boru z potężnym rogiem tura, pastuszkowie z ligawkami i fletniami; dalej starsi gospodarze, a już na murawie i cała ludność porozsiadała się wygodnie, zawsze ku jednej przeważając stronie, by nic z uroczystości odbyć się mającej nie utracić.

Skoro już się wszystko w niejaki ułożyło porządek, podano czarę napełnioną miodem jednemu z gęślarzy; ten podniósł się wraz z towarzyszem swoim i oba poważnie postąpili ku stosowi, który z gotowem w ręku łuczywem otoczyła młodzież cała, czekając na znak, by rozpocząć sobótkę Gęślarz trzymając czarę podszedł aż do pni sosnowych, wylał na nie miód i pobrzękując na strunach swojej gęśli, rzekł:

Za szczęście nasze
Jako bywało,
Święćmy tę czaszę!
Łado! Kupało!

W tej chwili smolne łuczywa podłożono pod suche chrósty, wypełniające przedziały stosu, wszystkie narzędzia razem zabrzmiały i z wszystkich ust prawie wychodziły tłumne okrzyki: Łado! Kupało! Okrzyki pogańskie, ale nikt na to nie uważał, kiedy przy nich bawić się miano ochoczo.

Stos zapłonął jasnym płomieniem; poważniejsi powrócili na swoje miejsca i poglądając na ogień bawili się opowiadaniem, to starych baśni, to nowszych wypadków, nie jedna powieść zaczynała się od słów: "Za Wielkiego Bolka" albo: "Za nieboszczyka króla." Słuchano też z wielkiem zajęciem, jak Zembocińscy opowiadali o dzisiejszych swoich usiłowaniach i niejeden z tych, co ich nie dzielił, dopiero co przybywszy na miejsce zabawy, kręcił głową, mówiąc:

— A to zuch białogłowa! no! no!... nie wstydże wam?

— Jeno się tu dopali — odpowiadali pytani — dokończymy swojego.

— My wam pomożemy!

— Im nas więcej będzie, tem lepiej, a podzielić się będzie czem.

Jak teraz, tak i od najdawniejszych czasów, młode dziewczęta miewały u nas piękne i donośne głosy, a przy zdarzonej sposobności lubiły śpiewać, bo ich chętnie słuchano, po powieściach zatem nastąpiły piosnki, dalej wróżby. Każda dziewucha strojna była w zieloność: ta miała wieniec na czole, tamta przepasana była bylicą; ta niosła rucianą wiązankę, ta pęk ciemnych i pierzastych liści paproci; coraz to która podchodziła do gęślarki z zapytaniem i objaśniona przez nią podążała ku płonącemu stosowi, rzucała w płomienie przyniesione ziele i patrzała ciekawie, jakim płomieniem wybuchnie, czy się w iskry ciche rozsypie, czy z trzaskiem do góry wyskoczy; z tego wyciągały wróżby i stosownie do tego czy pomyślną, niepewną, czy złą była, obchodziły wesoło, obojętnie albo frasobliwie.

Ogień pełnił swoje zadanie; przepalały się smukłe i miękkie pieńki sosnowe, parobcy zsuwali na kupę żelaznemi osękami te, które gorejąc staczały się od ogniska, na skrajach jego przez stosy płonących gałęzi, w osobne ułożonych żary, młodzież próbowała skacząc siły i zręczności swojej, w nagrodę zyskują oklaski lub śmiechy. Czasze krążyły w koło, bo z otwartej gospody dostawiono kadź miodu, towarzyszyły im pieśni, gwary po trosze i swary, a stos płonął spokojnie, jasno, w powietrzu była cisza, najlżejszy nawet wietrzyk nie poruszył płomieni. Sobótka powiodła się po nad wszelkie oczekiwania, czerwona łuna rozpostarła się po lesie, blask jej odbijały pola, łąki i wody małej rzeczki, wpadającej do Szreniawy i ona sama choć dalsza i szersza, kościół i zamek Zembociński zdawały się płonąć krwawą pożogą, a nawet odległe i senne teraz chaty włości taką samą oblokły się barwą. Północ już była, kiedy strudzona zabawą ludność pomyślała o po-

wrocie. Nie myślmy, że utonąwszy w niej całą duszą, zapomnieli wszyscy o Zembocińskiem dworze. Straż pozostawiona przy nim nie była tyle poświęconą ogólnej sprawie, by się dla niej wyrzec tak ponętnej i tak rzadkiej uroczystości, jak sobótka z gęślarzami i miodem; powoli wymykali się od wrot.

— Któż je tam otworzy? kiedy z jednej i z drugiej strony zawalone, a co do porzuconych narzędzi? — co komu teraz po nich, kiedy wszyscy w lesie? — z dworu przecież po nie nie wyjdą.

Ale zaledwie wiotkie ich postacie mignęły się u ogniska, gdy starsi parobcy zebrali się w kółeczko, naradzili po cichu, a potem ciągnąc węzełki powiązane na porwanem łyczku, losem zebrali z pośród siebie nową straż do zameczku. Ponieważ zaś pomiędzy nimi rozegrać się miała sprawa o główną zdobycz zamku, nie żałowali niedokończonej zabawy i czar niedopitych, lecz pospieszyli ku dworowi i w miejsce poprzednich strażników zasiedli u wrót wchodowych.

Zupełne milczenie panowało za nimi. Nowi stróże mieli ztąd pyszny widok, jakiego tylko mieszkający w pobliżu wulkanów używają do syta: wszystko dokoła w gorącej fali skąpane, a zdaleka tysiączne odgłosy, zlane w jeden chór ogromny, złagodzony oddaleniem, pyszną do widoku tworzył przygrywkę.

— A one? czyżby spały? — szeptali między sobą; ten spokój tak przeciwny zgiełkowi który dopiero co opuścili, onieśmielał ich mimowoli i radzi już byli, gdy się od lasu pojedyncze poczęły wysuwać postacie, gęściej coraz postępując. Zbliżywszy się ku łące rozproszonym tłumem, pod wzgórzem cisnęli się na nowo, ustawili w ład niejaki, jakby na zakończenie uroczystości; guślarze i muzyka stanęli na przedzie, kobiety, których przez cały dzień widać nie było, strojne i rozbujane śpiewem i skakaniem, szły wraz z drugimi, powiększając gwar i ruchliwość całej gromady, wzmocnionej próżniaczym i swawolnym z sąsiedztwa motłochem.

Gotowali się oni na odpór, próżny teraz przy wielkiej liczbie i mocnem postanowieniu napastników, zdziwiła ich więc głucha cisza, w jakiej dom stał pogrążony. Podstąpili pod wrota; na pnie i kamienie, które pod nie od progu zatoczono, weszło śmiało kilku młodszych kmieci, otaczali i wspierali ich sąsiedzi. Znany z zuchwalstwa Jurko potrząsnął kędziorzawą głową, a uderzając we wrota siekierą zawołał:

— Hej Małgorzato! wdowo Strzemieńczyka! Każ otworzyć bramę gościom. Dosyć obrony! Już i krew pociekła, niech będzie pokój.

Milczenie odpowiedziało na to i kilka innych wezwań; tłum się burzyć zaczął, rzucono się do łopat i siekier, ale to za długa była robota, ktoś krzyknął:

— A co to? czy już do szczętu wygasła sobótka? Drugą tu sobie zróbmy!

— Sobótka! sobótka! wrzeszczały tłumy wzburzone i w jednej chwili podłożono ogień pod bramę; suche belki zajęły się jak słoma, z trzaskiem i szelestem płonął próg i niedawne zatarasowanie, a skoro tylko na pół przetlone drzewo dało się rozbić żelaznemi osękami, które wielu przybyłych niosło w ręku od stosu, rozwalono szerokie przejście, porozrzucano zgliszcza i cała kupa wdarła się na dziedziniec. Kobiety, nasłuchawszy się o obronie, pozostały nieco w tyle, lecz widząc, że cisza nieprzerwanie panuje, wysunęły się naprzód i jako po większej części znające drogę i domowe zakąty, stały się przewodniczkami.

Drzwi wchodowe stały otworem, ale na próżno cisnęła się w nie tłuszcza, napróżno rozsypała się po komnatach i alkowach, napróżno trzeszczały szczeble drabiny prowadzącej na gmaszek — w dziedzińcu ani we dworze nie było nikogo. Zajrzano do stajni i obórki, poodwiązywane od żłobów konie i krowa, przerażone łuną, tuliły się przy nich ze strachem, zajrzano pod daszek studni i jabby ogólne milczenie było zaraźliwem, wrzeszczące dotąd kupy cichły powoli i już tylko półgłosem udzielano sobie wzajemnie spostrzeżeń.

— Uciekli nam, uciekli wszyscy!

— Ale gdzie? przecież widno było jak we dnie!

— Uciekli... ale którędy?

Rozpoczęły się poszukiwania; obcho-

dzono starannie ostrokół, czy gdzie naruszonym nie został, nie znaleziono ani śladu; z łuczywem przeglądano będący pod dworem loszek, ale widocznem było, że od zimowych zapasów nie był używanym; nakoniec pomyślano o lamusie. Że jednak goście z sąsiedztwa najprzód rzucili się na zbroje, wyprowadzili konie i co się tylko dało wynosili z mieszkania, nie podobało się to miejscowym, dla tego zapowiedzieli pomocnikom swoim, że do lamusu pójdą sami, zrobili wybór pomiędzy sobą i poszli.

Drzwi okute i na ciężkie zamknięte wrzeciądze odbiwszy, weszli do środka i nie żałowali, że się obeszli bez pomocy sąsiadów; na policach i hakach wieloletnie zapasy, jeszcze może od rodziców pana Mikołaja, otaczały wszystkie ściany, ale tego wszystkiego nie tyle byli ciekawi, mieli czas na to, szukali tylko schronienia tajnego, którem mogli im ujść poszukiwani, lub się w niem ukryć bezpiecznie. Zaglądając pod półki, poruszając wiszące futra i szaty, jeden z ciekawych natrafił na otwór.

— Tu, tu, za mną! — zawołał i znów jeden za drugim wsuwali się w ciasne przejście, popychając jedni drugich i depcąc sobie po nogach; po jakich dziesięciu krokach idący naprzód krzyknął:

— Woda!

— To nic, idźmy dalej! — wołano za nim.

— Ja nie pójdę, puśćcie mnie nazad, ciemno i mam już wodę po za kolana. Wyciągnąłem nogę naprzód, tam głębia!

Silnym ruchem obrócił się, a wołając: Wychodźcie! to musi być studnia, jeszcze nas zaleje! — przeraził idących za sobą i prędzej niż weszli, powrócili na dziedziniec.

Przez czas ich poszukiwań zmieniło się powietrze; łuna znacznie pobladła, na czystem dotąd niebie poczęły się kłębić chmury, z oddalenia słychać było głuche grzmoty, a błyskawice próły zygzakiem kłęby dymu i coraz ciemniejsze obłoki; ludziom zaczęło się jakoś robić nieraźno; powoli, nieznacznie, powysuwali się bramę, a i tam nie wszyscy byli ciekawi końca, kobiety zazwyczaj bojące się burzy, najpierwsze dały przykład odwrotu, za niemi poszli inni, obcy dobijali się do ogrodzenin, za któremi rżały robocze konie i ryczało bydło, miejscowi sami nie wiedzieli co począć.

Nakoniec zebrali się do koła guślarze, którzy pobrzękując na pojedyńczej strunie, widocznie zwoływali ku sobie ludzi, a gdy ich sporą do koła ujrzeli kupkę, rzekł starszy głośno:

— Moi ludzie! znać tu jakąś wyższą siłę. Nie ma już na co czekać; dom nie ucieknie, zresztą zostawcie stróży. Musieliśmy coś chybić przy sobótce, to się nie wiedzie.

— A może... — rzekł drugi starzec — może te niewiasty są mocniejszemi od nas guślarkami?...

Słowa te rzuciły ogólny popłoch na tłumy, tem więcej, że grzmoty wzmogły się w tej chwili i deszcz ulewny puścił się z chmur potokiem kto mógł uciekał, słychać tylko było nawoływania do koła, bo nagle ściemniło się zupełnie, a gdy ranek zaświtał, jak okiem zajrzeć czystą i pustą była okolica, tylko od lasu po wielkich ogniskach aogaszonych deszczem unosiła się mgła wilgotna w kłębach i kosmykach.

Kiedy na odgłos myśliwskiego rogu oblegający dwór Zembociński oddalili się ku lasowi, rozstawiwszy pod nim młodych strażników, ci poczęli na swoją rękę próbować oblężenia, to wspinając się ku bramie lub częstokołowi, to krzycząc, to zabierając się do podkopywania, przyrzekli bowiem pilnować oblężonych i w razie dostrzeżenia czego podejrzanego dawać znak do lasu; chcieli zatem dotrzymać słowa i zabawiali się jak mogli, by nie posnąć i nie uledz pokusie. Oblężeni tymczasem zebrali się na radę w dalszej komnacie. Przy stole, na którym Świerczyna pozostawiła ostatnie misy, siedziała na drewnianym stołku Małgorzata; lampa olejem napełniona rzucała blade i ponure połyski na strudzone jej lica, oczy podkrążone sinemi pierścieniami i czoło w głębokie marszczki ściągnięte; obok niej Halszka, zbudzona niedawno, lecz jeszcze nie wypoczęta, z trudnością dźwigała bolącą głowę; naprzeciwko dwaj starzy słudzy, na rozkaz pani zasiadłszy na ławie, oczekiwali na pierwsze jej słowo, Świerkowa zaś, jak zwykle, kłopotała się to ustawieniem jadła i napoju, to poprawianiem lnianego kosmyka u lampy. Smutno spojrzała

dokoła żona Strzemieńczyka po ścianach, sprzętach i wszystkiem, czego jeszcze tak niedawno opuścić nie chciała, po ludziach, co tak wiernie przy niej wytrwali i rzekła:

— Mówcie, co mam czynić? Śmierci się nie lękam, aleć nie sama jedna tu jestem. Za siostrę rodzicom odpowiadam, wy też macie rodziny, którym życie wasze drogie. Co czynić?... Chciałabym głową własną obronić krwawą pracę mojego męża, ale czy podołam?..

— Pani nasza — rzekł Biernat — za godzinę, za dwie, powróci tu cała zgraja, a powróci podpiła i rozszalała, nie oprze się tu nasza siła. Jeżeli zginiemy, toć i dwór i wszystko przepadnie w ich rękach. A ja znam pana Mikołaja, bom go od pacholęcia wychował; onby wolał stracić całe dziedzictwo, niż się dowiedzieć, że choć jeden włos spadł z waszej głowy.

Rozjaśniło się na chwilę spojrzenie Małgorzaty.

— Więc co począć? — spytała.

— Uchodzić, pani! Uchodzić, póki czas.

— Mnie nic nie będzie — rzekła Świerkowa — ktoby tam o starej babie w taką porę pamiętał. A później się to jakoś wkręcę między drugie.

Ale Małgorzata nie miała zamiaru zostawiać po za sobą ruchliwy język klucznicy, rzekła więc:

— Albo wszyscy, albo nikt! Ale i tak rozdzielić nam się będzie trzeba; jedni się puszczą wodną drogą, drudzy suchą

— Rozkazujcie, pani! Wszystko jest gotowe a i nas dwojga na obie drogi wystarczy.

Świerczyna weszła na gmaszek, rozejrzała się dokoła i wróciła donieść, że chłopaki od wrót odeszli już w połowie, że pewnie niezadługo żadnego nie będzie; możnaby zatem wierzchem bramy spuścić się bezpiecznie.

— Nie, tamtędy nie pójdziemy — odparła pani domu — widno jest, musieliby nas zobaczyć, a zresztą nie w tamtę udamy udamy się stronę. Słuchajcie, Świerkowa! wy z Matysem na rzeczce znajdziecie tratewkę i popłyniecie Szreniawą, a gdzie będzie można, wysiądziecie na lewym brzegu i przebierzecie się do stryja Benka, albo do Brzezia!

— O Matko Najświętsza! tylko my dwoje! A wy, panie moje, gołąbki moje, co się z wami stanie? Co powiem matce waszej?

— Powiedźcie jej, że znajdziemy tu ochronę — rzekła Małgorzata — jeźli mogą, niech nam z pomocą pospieszą. Tymczasem, Bóg najpewniejsza ucieczka!

— Czemuż się wy dwie nie puścicie tą drogą? — spytała sługa.

— Bo tratewka dwie tylko uniesie osoby, a naszych sił do wiosłowaniaby nie starczyło. A potem, drogi nie znamy i nie wiem, czy Halszkaby wytrwała. Poznaliby nas może. I ja tu do końca w blizkości zostać powinnam i muszę.

– Idźcież z Bogiem! — mówiła dalej wzruszona do ściskających jej kolana dwojga starych sług. — Niechaj was Bóg prowadzi — ucałujcie odemnie nogi drogiej matki. Do widzenia kiedyś. — Teraz zwróciła się do Halszki i obejmując ją tkliwie, a kryjąc łzami zaszłe oczy, rzekła:

— Daruj, siostro droga! daruj, jeżeli zuchwałe a nieoględnie zatrzymałam cię przy sobie na niepewne i może ciężkie losy. Takaś młoda, świat się tobie uśmiechać powinien, a kto wie, co nas czeka i czy się dostaniemy żywe do ukrycia, które nas ocalić może...

Halszka przytuliła się do siostry i równie rozrzewniona, całując ją, rzekła:

— Uspokój się, Małgosiu, będzie jak Bóg zechce. Przynajmniej będziemy razem.

Jedną myślą wiedzione poszły znowu do krzyża i w gorącej modlitwie poleciły życie swe Bogu. Wierni słudzy poszli za niemi, a przez chwilę we dworze Zembocińskim wszystkie kolana kornie zgięte, wszystkie czoła były pochylone i wszystkie serca szczerą i jedną prośbą podniosły się ku niebu.

Powstawszy, Małgorzata wyciągnęła obie ręce:

— Uściśnijmy się! — rzekła. — W tej chwili ramiona splotły się razem, braterski uścisk i łzami zaszłe oczy złączyły tę garstkę ludzi na złą i dobrą blizką lub daleką dolę.

— A teraz w drogę! i cicho! — szep-

nęła jeszcze Małgorzata. Biernat stanął na przodzie, za nim szła pani opuszczanego domu, trzymając siostrę w objęciu, w ręce zaś mały toporek, jakby do ostatka nie chciała pozostać bez broni; dwoje starych dążyło za nimi. Pod samą ścianą przesunęli się ku lamusowi, będącemu punktem najodleglejszym od bramy, przy drzwiach zatrzymali się trochę, by zbadać, co słychać z zewnątrz; żaden głos się nie odzywał w pobliżu, z oddalenia tylko szumiały i dźwięczały rozliczne tony. Biernat pchnął drzwi ciężko okute i wszyscy znaleźli się w ciemności; on przeliczywszy obecnych zamknął drzwi napowrót, obrócił wielki klucz dwa razy we drzwiach, a gdy zaskrzypiały rygle, wyjął go z zamku i na blizkiej policy położył. Od kilku już tygodni przezorny starzec przygotował na wszelki wypadek ucieczkę i tak był wszystko urządził i wypróbował, żeby się w nagłym razie sam nie zbił z tropu a nie pomylił.

Znajdujący się w lamusie przez chwilę jakąś sądzili się otoczeni ciemnością, lecz wnet oczy ich oswoiły się z ciasnym widnokręgiem, oświeconym czerwonawą wdzierającą się przez małe okienka łuną okolicy; wtedy Matys wziął za rękę Świerkową, mówiąc:

— Chodźmy! tylko, cobyście spotkali, nie krzyczcie, mógłby kto usłyszeć i wszystkoby przepadło!

Doszli do ściany, Biernat odchylił przed nimi zawieszone pęki odzieży, za którą znikli jakby za zasłoną. Stary sługa postał trochę nasłuchując... do ucha pozostałych doszedł stłumiony głos klucznicy:

— Woda! woda, o la Boga!

Jeszcze z pacierz pozostał Biernat u otworu, potem rzekł:

— Bogu dzięki! już dochodzą do brzegu. Teres na nas!

— Czy także przez wodę pójdziemy? — spytała Halszka.

— Gorzej, ziemią; ale nie bójcie się panie, w Bogu nadzieja, że i my się wydostaniemy.

— Któż pójdzie pierwszy? — zapytała Małgorzata — I gdzie bezpieczniej?

— Wszędzie bezpiecznie jak Bóg pozwoli i wszędzie, jak dopuści, może być niebezpiecznie. Co do porządku, ja muszę iść pierwszy; nie byłem tam od świtu, mogło się co popsować.

— Idźcież! — rzekła młoda kobieta; — teraz Halszka, a ja na ostatku. Nie opieraj się dziewczę, ty ledwie się trzymasz na nogach, będziesz miała pomoc z dwóch stron w razie potrzeby.

— Panie moje! — rzekł jeszcze Biernat; — nie traćcie serca, będzie trochę ciemno i duszno, ale to nie potrwa długo.

— Wiem — mówiła Małgorzata — ale idźmy już, czasu nie ma. — I za ten sam pęk szat zwieszony do podłogi, który zakrył dwoje starców, weszło teraz troje uchodzących. Halszka trzymała rękę na ramieniu Biernata, a choć ręka ta drżała, młode dziewczę nie wyrzekło ani słowa. Małgorzata jedną ręką splotła z dłonią siostry, drugą poprawiła uniesione fałdy wiszącej odzieży, by znów do podłogi spływały i znaleźli się w ciemnem, ciasnem i wilgotnem przejściu, gdzie po kilku krokach zwrócili się na prawo.

Ciasno było i nizko. Małgorzata, z trojga najwyższa, uchylała głowę, by nią nie okruszać ziemi, pyłu i drobnych korzonków, zwieszających się jak nitki; pod nogami mieli kamienie, znać miejsce to brukowanem było kiedyś. Z początku schodzili na dół, potem kilka kroków po równej drodze

— Jużeśmy za częstokołem! — ale kobiety zaledwie dosłyszały te słowa starca, ścieśnione ściany pochłaniały je zupełnie, a brak powietrza nie dopuszczał od dźwięku. Obie czuły pierś ściśniętą i przytłoczoną, Biernat przyspieszał kroku pod górę, Halszce zawracało się w głowie i tylko silna wola wstrzymała ich od upadku.

Nakoniec! — ze wszystkich ust wydarł się cichy głos:

— Ach! Bogu dzięki!

Świeże powietrze owiało ich czoła i znaleźli się w nowym otworze, dochodzącym do ich kolan; Biernat ostrożnie suwał nogą, póki nie natrafił na spory kamień, po którym się wydobył poza ten próg wysoki i wskazując Halszce drogę, podał jej rękę i dźwignął dziewczynę na wywyższenie.

(Dokończenie nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

NIE OPUSZCZAJ
KRAJU RODZINNEGO

— PRZEŁOŻYŁ —

BOLESŁAW DUNIN.

(Ciąg dalszy.)

"Bój się Boga! kiedy zdołasz powrócić, gdy statek już odpływa za chwilę?"

"Nie bój się przyjacielu" odpowiedział Bartolly: "wezmę fiakra co stoi u przystani piorunem polecę do gospodarza domu, gdzie moje rzeczy były złożone; jest to w blisko-ści od przystani i wrócić jeszcze zdołam nim trzeci raz dzwonek zadzwoni. Nie myśl jednakże abym uciekać chciał przed tobą. Oto jest mój pugilares w którym nie tylko twoje dwa tysiące talarów się znajdu-je, lecz także moje własne pieniądze. Masz więc wszystko jako rękojmię, że nie ucieknę przecież od ciebie." To powiedziawszy, rzu-cił prawie w ręce Ferdynanda dość gruby pugilares a sam zbiegł po pomoście i wsko-czył do pierwszego fiakra co był u przy-stani i popędził do miasta.

Ani na sekundę powątpiewać nie mógł Ferdynand o prawdzie słów przyjaciela któ-rego gruby pugilares trzymał w swem ręku. Nie schodził jednak z pokładu i bezustan-nie wyglądał w stronę w którą wyjechał Bartolly. Na końcu zaczęto ściągać pomost: co widząc Ferdynand pobiegł do Kapitana prosząc by nie kazał zwijać pomostu, gdy jego przyjaciel Bartolly w pilnej potrzebie powrócił na krótką chwilę do miasta i nim trzeci raz dzwonek uderzy wróci niezawo-dnie.

"Kto taki? pan Bartolly? odpowiedział Kapitan" Upewniam pana że takiego naz-wiska nie mam w liście osób co się zapisali do podróży, ani żadnego pakunku takiej o-soby.

"Czy być może?" odpowiedział Ferdy-nand; "zostawił mi swój pugilares co go mam w ręku."

"Może to oszust jaki? których jest peł-no wszędzie, niech no pan popatrzy co tam jest w tem pugilaresie." W tej chwili dzwo-nek raz trzeci uderzył. Ferdynand otworzy-wszy pugilares nie znalazł w nim nic wię-cej oprócz grubej bibuły którą był napcha-ny; a na wierzchu niej ołówkiem napisane te słowa: Na wędkę łowi się ryby! bywaj zdrów! życzę szczęścia w Kalifornii!

Trudno wyobrazić sobie zawstydzenia jakiego doznał Ferdynand widząc się tak haniebnie oszukanym. Mniej go nawet ob-chodzić zdawała się strata dwóch tysięcy talarów które w tej chwili sam przyznać musiał za stracone; tem więcej mu to przy-kro było że wyjaśnienie tego zdarzenia by-ło w obec tylu świadków, to jest podróż-nych którzy wszyscy prawie byli jeszcze na pokładzie, żegnających się znakami ze zna-jomymi którzy stali w przystani, oczekując odpłynienia statku.

Zszedł więc czemprędzej z pokładu i u-siadł w najgłębszym zakątku kajuty nie pa-trząc nawet ku brzegu rodzinnej ziemi któ-rą opuszczał nie bacznie. Był to bowiem dopiero początek strat i zawodów jakich miał doznać później ażeby zostać rozczaro-wanym z złudzeń i tej chciwości bogactw jaka go trawiła.

Długo trwająca podróż chociaż nie wy-leczyła go zupełnie, ochłodziła cokolwiek je-go wyobraźnię i zmniejszyła tę niecierpli-

wość jaką pałał. Mimo woli zamknąć się musiał w sobie i rozmyślać zaczął o swej niepewnej przyszłości. Zdawało mu się wszakże że dopłynąwszy do Kalifornii, w pierwszem mieście tego kraju znajdzie potrzebne wskazówki i wiadomości, jako też z tak znacznym pieniężnym zapasem łatwo mu będzie opatrzyć się w to wszystko co do dobywania złota potrzebnem będzie.

W Portsmouth parę tygodni przesiedzieć musiał, oczekując czasu w którym wyprawa do Kalifornii wyruszyć miała. Poznał się tam z kilku osobami które w San Francisco miały swoje kantory; lecz ci nie trudniąc się wcale dobywaniem złota, poprzestawali na zatrudnieniu przesyłania takowego do Anglii przez przedsiębiorców i żadnych nie mogli dostarczyć objaśnień Ferdynandowi. Powiedzieli mu tylko że przybywszy do San Francisco od miejscowych faktorów dowie się łatwo o wszystkiem. Nie miał co więcej wdawać się w rozmowy z właścicielami kantorów którzy małomownie jak zwykle Anglicy, dawszy mu raz żądaną odpowiedź, więcej w tej materyi mówić z nim nie chcieli. Po nauce jaką mu dał Bartolly nie był tak łatwym Ferdynand do zawiązywania nowych znajomości i zawierania przyjaźni. Został odtąd samotny na całą tę długą przestrzeń, ką okręt na którym płynął miał przebyć do za atlanteckiej ziemi. Same trudy i niewygody tak długiej podróży, koszt oraz nie mały jaki ponieść musiał wraz z tym co już stracił, do połowy prawie wyczerpały jego kapitał. Wszystko to tak dalece na niego wpłynęło że gdyby nie wstyd fałszywy byłby chętnie wrócił do kraju choć już w nim nie posiadał własności której nie bacznie tak łatwo się pozbył.

Lecz nie czas było myśleć już o powrocie wśród wód oceanu które go otaczały. Już ląd Europy zniknął mu z oczów, niebo tylko miał nad głową, a pod nogami statek który jakby punkcik maleńki stanowił wśród wód ogromu.

Długa, całe miesiące trwająca była to podróż, której towarzyszyły wszystkie cierpienia jakim każdy prawie podlega wędrowiec. Najcięźej mu dokuczała morska choroba której nie doznając nigdy, nie mógł do niej nawyknąć. Stracił sen i apetyt, a to niszczyły jego siły tak dalece, że po kilku dniach podróży nie podobny był do siebie. Do tego przyłączyło się zniechęcenie do ludzi tak, że ich wzrok nawet przykre na nim robił wrażenie. Zdawało mu się że każdy co poglądał na niego, szydził tylko z jego lekkomyślności i chciwości, dla której porzucał byt i szczęście domowe, oddalał się dobrowolnie od tych którzy go kochali; a tu się znajduje pośród obcych zupełnie i obojętnych ludzi, których żadna jego dolegliwość nie obchodzi, którzy na nią z zimną krwią patrzą i którzy ani w fizycznej ani moralnej jego chorobie żadnej ulgi mu sprawić nie chcą i nie myślą. To go dobijało do reszty. Już stracił rachubę czasu i ani wiedział jak mu jeszcze daleko do celu podróży, ani jak długo w niej zostawał. Kapitan okrętu widząc taki stan jego, przyprowadził doktora któremu staranie o chorym polecił. Doktor opatrzywszy go, oświadczył: że to stan zwykły nie przyzwyczajonego do morskiej podróży człowieka, że choć on dłużej trwa niż zwykle, żadnych jednak groźniejszych następstw obawiać się nie należy. Kapitan okrętu choć w gruncie człowiek dobry, jednak jako marynarz nie przywykł do drobiazgowego zajęcia, tem mniej jeszcze koło chorego, poprzestał na sprawozdaniu lekarza i nie troszczył się więcej o niego.

Tak przeszła podróż cała, która Ferdynandowi wiekiem się wydała. Słaby, bezsilny, bezwładny prawie, był jakby automat bez czucia. Już nawet myśleć nie mógł, bo i umysł jego znękany był wszystkiem co dotąd przebył i czego doświadczył. Pewnego ranku okrzyk na pokładzie, "Ziemia!" obudził go z odrętwienia. Czołgając prawie wylazł i on na pokład, a wśród jasnego dnia dostrzegł w oddaleniu ląd stały którego dawno nie widział, którego zapomniał prawie. To wzruszenie jakiego doznał w tej chwili, było jakby ostatnie lekarstwo na jego chorobę. Nie mógł od razu przyjść do siebie i zebrać myśli z radości że przecież doczekał końca tej nużącej podróży.

Okręt szybko poruszał się po oceanie, że coraz wydatniej przedmioty zarysowywać się poczęły na widnokręgu. Ferdynand

nie odwracał swoich oczy od tego widoku który pokrzepiał coraz jego siły. Gdy nakoniec okręt przybił do brzegu, uczuł się zdrowym, a choć chwiejącym jeszcze krokiem, przeszedł po spuszczonym pomoście aby zamówić dorożkę, któraby go zawiezła do najbliższej jakiej gospody. Wyszukawszy taką pomiędzy mnóstwem wozów stojących u przystani, wrócił na pokład okrętu, zabrał swoje rzeczy i siadłszy do powozu udał się do miasta. W skazanym hotelu stanąwszy nie pytając o cenę, kazał sobie dać pokój i w nim urządzić łóżko do którego zaraz się położył, spożywszy najprzód skromną wieczerzę.

Tak spocząwszy dzień cały i obudziwszy się nazajutrz uczuł się prawie zdrowym. Zadzwonił na służącego i kazał sobie podać śniadanie. Służący hotelowy usłyszawszy dzwonek, wszedł do pokoju lecz zamiast kawy, niósł w ręku łokciowej długości papier na którym był spisany rachunek i podał go Ferdynandowi. Ten zapytał służącego, co to ma znaczyć? Służący odpowiedział grzecznie że to miasto, to jest ta Stolica kraju, nazywa się San Francisco i zwyczajem tu jest, że każdodziennie rachunek w hotelu się płaci. Ferdynand ujrzawszy podsumowany rachunek któren wynosił czterdzieści dolarów nie wyobraził nawet sobie aby to było na prawdę, by jeden dzień przebyty w hotelu mógł tak wiele kosztować. Rozumiał że to jest mistyfikacya jakaś, lub że gospodarz hotelu chce doświadczyć obcego człowieka który pierwszy raz taką podróż odbywa. Spytał więc służącego dla czego mu nie przyniósł kawy? Służący znowu grzecznie odpowiedział że gdy zapłaci podany rachunek, wtedy znowu aż do jutra może na nowo dysponować co mu się podoba.

"Jak to być może" zawołał Ferdynand w gniewie "aby za trochę owoców, skromną wieczerzę i nocleg tak wielką stanowiliście ceną."

"Może Pan w tej chwili innego sobie poszukać mieszkania kiedy się Panu za drogo u nas zdaje — lecz upewniam Pana że nasz hotel jest najtańszy ze wszystkich w mieście."

"Zobaczymy" odpowiedział Ferdynand i rzuciwszy ze złością na stół pieniądze nie powtórzył nawet rozkazu aby mu dano kawy, zabierał się do wyjścia z domu bez śniadania. Służący zgarnąwszy pieniądze, ukłonił się grzecznie i powiedział Ferdynandowi że aż do wieczora pokój ten do niego należy.

Wyszedłszy z hotelu Ferdynand, coraz więcej był oburzony tem wszystkiem co doznał dotąd. Szczerze żałować począł że się wybrał w tę drogę, że opuścił własne dziedzictwo w którem mu tak dobrze było aby szukać zbogacenia się na co wyczerpywały się jakie miał zapasy gotowizny: jeszcze nie przystąpił do zbierania złota w Kalifornii a tu już większej połowy jego kapitału nie było. Temi uwagami które mu się same teraz zaczęły cisnąć do głowy zaprzątnięty, zapomniał o śniadaniu i długo błądził po mieście nim sobie przypomniał za czem wyszedł. Spojrzawszy po domach ujrzał niebawem napis nad drzwiami "dom gościnny" i wszedł do niego zapytując o mieszkanie i cenę jego. Pokazano mu pokój nie lepiej urządzony niż ten w którym nocował i powiedziano mu że za jedną dobę przemieszkania w nim, wraz z śniadaniem, objadem i wieczerzą sześćdziesiąt dolarów zapłacić należy. A gdy okazał swoje zadziwienie, gospodarz hotelu mu powiedział, że w kraju złota jest ono małej ceny i dla tego tak wiele go trzeba za każdy przedmiot którego ludzie potrzebują; tem więcej zaś na potrzeby życia. "Może Pan dalej zechce zapuścić się w głąb miasta, to się Pan przekona, że tam jeszcze droższe są hotele."

Gdy ten rozgniewany do najwyższego stopnia o takie zdzierstwo zabierał się natychmiast do wyjścia, kelner mruknął do siebie: "Zdaje mi się, że on tu w kraju coś gorszego niż złoto znajdzie."

Nie słyszał Ferdynand tych słów, tak się spieszył, aby co prędzej nowe dla siebie wynaleść mieszkanie. Gdy się ujrzał na ulicy, spytał pierwszego, co się z nim spotkał, człowieka o inny jaki hotel w mieście.

"Chętnie go Panu wskażę" odezwał się zapytany z uprzedzającą grzecznością, która cieszyła nadzwyczaj Ferdynanda, bo już na wstępie doświadczył, że w kraju złota ludzie są przynajmniej grzeczni i chętni do

posługi, choć ona drogo kosztuje. Zaledwie uszli pięćdziesiąt kroków, kiedy przewodnik stanął u drzwi wielkiego pięknego domu i odezwał się do Ferdynanda:

"Tu Pan znajdziesz wygodne mieszkanie."

"Dziękuję, bardzo dziękuję" odpowiedział Ferdynand i chciał już wejść do wskazanego mu domu, kiedy przewodnik wyciągnąwszy rękę, odezwał się znowu: "Za moje trudy należy mi się dolara mój Panie."

"Co Pan mówisz? czyż możesz tak wielkiej żądać nadgrody za to, żeś kilka kroków zaledwie zrobił dla mnie?" zawołał Ferdynand z zadziwieniem i rozpoczął z nim targ, aby choć cokolwiek zmniejszyć żądaną przez przewodnika sumę. Widząc jednak, że przechodnie słysząc sprzeczkę, zatrzymują się koło nich, a niechcąc przedłużać sporu, z którego tylko nieprzyjemności mógł się spodziewać jeszcze większej, dobył czemprędzej dolara i włożył go w rękę przewodnika, który ukłoniwszy się mu grzecznie, natychmiast się oddalił.

"A! cóż to za drogi kraj" zawołał Ferdynand — "jeżeli prędko nie znajdę złota, to pieniądze, którem przywiózł z sobą, nie na długo mi wystarczą!

Z ciężkiem westchnieniem wszedł Ferdynand do hotelu wskazanego mu przez przewodnika i znów zapytał o cenę mieszkania wraz z kawą i objadem dziennie. Powiedziano mu jeszcze wyższą cenę niż w poprzednim hotelu. Potrząsł tylko głową, usłyszawszy tak wygórowane, jak mu się zdawało, żądanie, i nic na to nie odpowiedziawszy, wyszedł. A wstąpiwszy jeszcze do kilku innych domów przekonał się w końcu że służący co mu podał rachunek w hotelu, w którym pierwszą noc na nowej przepędził ziemi, prawdę mu powiedział. Odszedł więc poskromiony na powrót, i dostawszy się do hotelu, powiedział, że zostanie tu jeszcze na parę dni.

Było już z południa. Czczość, jakiej doznawał dopiero go opamiętała zupełnie, że musiał się zgodzić z obecnem stanem rzeczy. Prosił więc o śniadanie, a gdy mu go podano, wszedł z służącym w dłuższą rozmowę, prosząc go o objaśnienie, co do zwyczajów, jakie w tym kraju panują, co do ceny robotników używanych do dobywania złota, słowem o wszystko co dotyczyło jego awanturniczego przedsięwzięcia.

Są tu u nas osobni do tego ludzie, których jedynem zatrudnieniem i zarobkiem jest stręczenie przybywającym do tego kraju wszystkiego, czego żądać i potrzebować mogą. Zawołam tu Panu jednego z takich faktorów, sumienniejszego od innych. Bo i między nimi są tańsi i droźsi, sumienniejsi i mniej sumienni, chciwi i przebiegli, jako też poprzestający na mniejszem od innych wynagrodzeniu, a za to nie tak pospieszni i świadomi wszystkiego. Ten którego Panu zawołam, nie jest wprawdzie tanim, lecz odkąd służę gościom w naszym mieszkającym hotelu, nikt się na niego nie skarżył.

Zawołał więc takiego faktora, a rozmówiwszy się z nim, przekonał się Ferdynand, że może mu zaufać. Przedewszystkiem spytał się go, jakiej żąda za swoją usługę zapłaty. "Zwykle się godzę dziennie. Najmniej dziesięć dolarów płacą mi miejscowi, którzy mych usług potrzebują. Lecz że Pan jesteś obcy zupełnie w kraju, i pierwszy raz do tego przedsiębiorstwa się zabierasz, a nadto możesz zostać z przyczyny nieświadomości swojej narażony na straty i szkody przez ludzi niesumiennych, do którychbyś się udał, więc dasz mi dwadzieścia dolarów dziennie, póki tu zostaniesz, to jest póki ciebie stąd nie wyprawię gotowego do twego przedsiębiorstwa z należytemi objaśnieniami sposobów, jakich używają do dobywania złota w Kalifornii."

Cena tak wysoko postawiona przez faktora do reszty rozczarowała Ferdynanda. Łatwo mógł obliczyć, że nim się jeszcze zabierze do zbierania garściami złota, wyczerpie cały swój kapitał, i ogołoconemu zostać mu przyjdzie w obcym kraju, z próżnemi rękoma, któremi na swoje utrzymanie nawet zarobić nie zdoła. Lecz cóż było czynić? I ten więc twardy warunek przyjąć musiał, zawarł umowę z faktorem, żądając tylko od niego, aby jak najprędzej go stąd wyprawił.

"To się stanie w trzech lub najwięcej w czterech dniach Panie" odpowiedział faktor. "Racz mi tylko Panie połowę mojej należytości według umowy, to jest za dwa dni

pierwsze, wypłacić z góry, abym był pewnym, że Pan dotrzymasz umowy i nie weźmiesz sobie kogo innego podług moich wskazówek, jakich ci z góry udzielę." "Nie uczynię tego," odpowiedział Ferdynand. "Wszakże ty winieneś mi dać jakąś rękojmię, że nie nadużyjesz mego zaufania." – "Gospodarz tego hotelu zaręczyć za mnie może. — Udali się więc do gospodarza i po jego zaręczeniu dopiero Ferdynand wypłacił faktorowi żądaną połowę nagrody za jego usługi.

Odtąd faktor nie odstąpił ani na chwilę Ferdynanda, któremu zalecił, aby się naprzód zaopatrzył w potrzebne narzędzia do dobywania złota, jako to: rydle, młoty, siekiery, wory skórzane i inne potrzebne narzędzia, co wszystko znowu ogromnie drogo zapłacić musiał. Potem faktor zaprowadził go do handlującego mułami, których parę znowu za wysoką kupiono cenę, aby na nich zabrać można było żywność, narzędzie i złoto które znajdzie Żywności przysposobiono na dni kilkanaście, w którą koniecznie zaopatrzyć się należało, wybierając się w kraj bezludny. Strzelb parę także kupiono dla upolowania zwierzyny, gdy się wyczerpią zabrane z sobą w drogę zapasy żywności. Wszystko to sprowadził Ferdynand do hotelu, w którym mieszkał. Lecz najtrudniejsza rzecz dostać ludzi do roboty, których potrzeba było. Faktor i o to postarać się przyobiecał: radził wszakże, aby nie więcej ich brać z sobą jak tylko jednego, któryby był dostatecznym do zabrania tyle złota, ile na dwa kupione muły zabrać będzie można.

Gdy Faktor odszedł w celu wyszukania takiego robotnika, dano znać Ferdynandowi że przyszedł człowiek od kupca, u którego kupione zostały muły, i chce się z Ferdynandem widzieć. Ten rozumiał, że przyszedł do niego w celu upomnienia się o nagrodę, jaką zwykle dają służącym właściciele koni lub mułów. Znowu mu się przykro zrobiło, gdy wspomniał sobie na tak już uszczuploną znacznie kasę swoją. Rad nie rad jednak kazał go przywołać. Służący ten był także rodowity Niemiec, który przybywszy przed laty do Kalifornii w celu dobywania złota, i wyczerpawszy swój szczupły zapas jaki miał z sobą, a nie mając innego sposobu którymby nawet na życie zarobił, przyjął na lat dziesięć służbę u handlarza koni i mułów, a chociaż nieszczęśliwie trafił na niesumiennego i srogiego człowieka, musiał podług praw krajowych dotrzymać umowy, inaczej bowiem trzebaby odpokutować srogiem więzieniem. Gdy wszedł do pokoju Ferdynanda, skłonił mu się grzecznie, i powiedział, że nie przyszedł on do niego po żadną nagrodę, tylko chce mu ofiarować służbę swoję, i jako jego ziomek ręczy za swoją wierność."

"Cóż to się stało?" zapytał się Ferdynand, "wszakże słyszałem, żeś na lat dziesięć kontrakt zrobił, którego zerwać nie możesz?"

"Gdyś Pan targował muła, i handlarz koniecznie chciał Panu sprzedać tego większego, a ja kilka słów przemówiłem do Pana, abyś go nie brał, bo ma wady, i abyś tę parę zakupił, którą ci wskazałem; to gospodarz po wyjściu Pana uderzył mnie i powiedział przytem, abym sobie poszedł precz, bo mu targ psuję. Tego jednego tylko oczekiwałem od niego słowa. Na szczęście moje powiedział to przy dwóch obecnych, w których mam świadków, że nie ja jego odszedłem przed upływem kontraktu, tylko on sam mnie iść precz kazał. Tym więc sposobem jestem wolny, i do służby u Pana gotów od tej chwili. Ferdynand choć może wolał mieć w usługach ziomka niż kogo innego, zawahał się co ma uczynić. Wtem nadszedł faktor, który dowiedziawszy się o co idzie, sam doradził Ferdynandowi, aby nie opuszczał takiej sposobności i kiedy już ma wszystko gotowe, aby natychmiast wyruszył w drogę.

Tak więc opłaciwszy wszelkie rachunki w San Francisco, i zaopatrzony we wszystko, co potrzeba, Ferdynand z swoim nowym towarzyszem opuścił miasto: a choć prawie bez grosza, zadowolniony przecie, że uwolnił się od wszystkich zdzierstw, jakich doznawał.

Za miastem zaczął rozmowę ze swym sługą, i zauważył, że on ma już trochę doświadczenia, gdyż już tego zawodu sam probował. Postanowił więc sobie iść za jego wskazówkami i o tem jednem tylko myślał,

aby jak najprędzej wory swe złotem napełnić. "Wszakże należy nam jakąś z sobą zrobić umowę, mój Janie: bo chociaż jesteś ziomkiem moim, jednakże w końcu możesz żądać odemnie bardzo wielkiej za twe usługi nagrody, zepsutym już będąc zwyczajami tego kraju, w którym kilka lat zostajesz."

"Ja nie żądam od Pana więcej jak połowę tego, co uzbieramy oba"

"A to bardzo wiele!" odpowiedział Ferdynand.

"Nie jest to wiele Panie," mówił Jan "zważ Pan tylko, że bezemnie, sambyś tu nic nie poradził, bobyś ani znalazł złota, albo byś tylko tem kontentować się musiał, coby ci przypadek nastręczył. Ja zaś znam tu część wielką tego kraju, który już zwiedziłem w różnych kierunkach. Mogę Panu wskazać miejsca, gdzie nie będziemy potrzebować więcej pracy, jak się pochylić ku ziemi, aby pełną garścią zbierać złoto, którem w niedługim czasie napełnimy wory nasze." I na to przystać musiał Ferdynand, choć mu żal wielki było dziellć się gotowem złotem ze swoim sługą, złotem, którego jeszcze sam nie miał, a tylko okiem chciwości widział go już w myśli swojej.

W krótkim bardzo czasie okazało się, jak wielce użytecznym dla Ferdynanda był Jan, nietylko jako sługa, lecz jako towarzysz i przewodnik, bez którego sam nicby nie poradził. Należało się bowiem zapuszczać daleko w bezludny kraj, gdyż bliższe miasta okolice, albo już były wyczerpane ze złota, albo, miejsca z których je jeszcze dobywano, miały już swoich właścicieli; to jest tych, którzy je wprzód zajęli i z nich złoto dobywać zaczęli. Jan bowiem, który tu już dawniej przybył i sam spróbował i innym w dobywaniu złota pomagał, wiedział nietylko sposoby jego dobywania, lecz oraz oznaki, gdzie takowego poszukiwać należy

W pierwszych dniach podróży natrafiali na pojedynczo stojące gdzie niegdzie chatki lub szałasze, w których mieszkali czasowo ci, co się trudnili dobywaniem złota zbudowane one były najczęściej przy wyschłem korycie rzeki. Ferdynand, widząc te nędzne lepianki, dziwił się temu, i nasunęła mu się myśl i pomiędzy tymi ludźmi wybrać jeszcze kilku robotników dla siebie. Jan mu powiedział: "że robotników więcej nad ich obu nie potrzeba wcale, a nadto, że ci wszyscy ludzie nie zasługują na zaufanie: po największej części są to rabusie lub mordercy, którzy radzi korzystać z każdej sposobności, co się nadarzy, by obedrzeć podróżnego a czasem i zamordować. Lepiej więc ich ominąć, niż się narażać na widoczne i prawie pewne niebezpieczeństwo. Teraz nam nic nie zrobią złego, bo nie wiedzą, że nie wiele przy nas znajdą; na powrót zaz inną drogą powracać będziemy, to się uchronimy od ich napaści."

"Smutne obrazy mi dajesz tego złotodajnego kraju, w którym łatwiej o złoto, niż o spokój i bezpieczeństwo człowieka. Jak tylko cokolwiek uzbieram złota, nie będę tu długo, i jak najspieszniej do rodzinnej powrócę ziemi. U nas daleko lepiej mój bracie! gdzie każdy, czy to bogaty, czy ubogi spokojnie zasypiać może!...

"Prawdę Pan mówisz," odpowiedział sługa. "Jabym już dawno ten kraj porzucił, gdybym mógł był uzbierać tyle przynajmniej złota, ile potrzeba na koszta powrotu do kraju. Lecz niech Pan nie traci odwagi! Im głębiej zapuścimy się w tę pustynię, tem łatwiej nadzieje nasze się ziszczą. Zbierzemy złota nie więcej, jak tylko tyle, co unieść będą mogły nasze muły, a wtedy, jak najprędzej będziemy wracać do naszego rodzinnego gniazda, którego nikt nie powinien opuszczać przez lekkomyślność lub chciwość, nikt nie powinien zabierać się do dalekiej wędrówki, tem bardziej w kraj dziki i pusty, chyba po to, aby umarł z głodu."

Sam się o tem Ferdynand coraz bardziej przekonywał, jakie było jego szczęście, że dostał takiego, jak Jan, sługę. Nie tylko bowiem służył mu za przewodnika, był nadto dobrym myśliwym i rybakiem; co zabezpieczało ich obu od głodu. Był on towarzyszem, przewodnikiem i doradcą dla Ferdynanda. Jeżeli kiedy wyszedł z dubeltówką na ramieniu, wracał zawsze opatrzony w zwierzynę, z której smaczne pożywienie dla siebie i pana swego sporządzał. Wszystkie te nieocenione przymioty takie-

go sługi nie potrafił Ferdynand ocenić, jak był powinien, zajętą całą myśl mając, aby już jak najprędzej przybyć do miejsca, gdzieby mógł zacząć ładować złoto w swe wory.

Więcej niż przez dwa tygodnie wędrowali już oba po dzikiej okolicy, coraz głębiej zapuszczali się w kraj, gdzie noga ludzka nie postała prawie. Ferdynand zmęczony, nie tyle podróżą ile niecierpliwością, że dotąd nigdzie nie natrafiał pod nogami swemi złota, które jedynem jego pragnieniem i celem było, przekonywał się powoli, jak fałszywe miał wyobrażenie o prędkiem tu wzbogaceniu. Już nawet zaczynał niedowierzać przewodnikowi swemu, i rozmyślał, co począć dalej z sobą? przyznawał sobie, że źle zrobił, iż porzucił swoją ojczyznę i dobrowolnie poszedł na tułactwo w obcej ziemi, w dalekim kraju mało zaludnionym i pustym; a i ci ludzie, na których tu natrafiał, byli niedobrzy i chciwi, niechętni obcemu, z którego tylko korzyści ciągnąć radzi. do pomocy zaś dla niego nietylko skorzy, lecz prawie pragnący go widzieć w ostatniej nędzy i upadku, niż w świetnem położeniu, gdyby osiągnął cel, dla którego tu przybył z Europy.

Mało bardzo rozmawiali oba. Jan coraz pilniej przypatrywał się okolicy i zwracał uwagę na pokłady ziemi i inne oznaki, po którychby mógł wnosić, że tu się znajduje złoto.

Nie postępowali oni w prostym kierunku, tylko zwracali w jedną lub drugą stronę w góry lub doliny, skały i urwiska. Nic jednak aż do tego czasu nie odkryli. Jan nawet, który już nieraz był używany od przedsiębiorców do takich wypraw, przekonywał się nakoniec, że Kalifornia nie z samego złota się składa, i nie cała jest niem napełniona, że się tu znajdują okolice i to dość rozległe, w których albo go niema wcale, albo ono głęboko pod ziemią spoczywa. Ferdynanda zaś nadzieje słabły coraz bardziej, co widząc Jan, jak mógł dodawał mu odwagi.

“Tylko wytrwałości nam trzeba, mój Panie!” mówił on do Ferdynanda, “jedna chwila może nam nagrodzić nasz trud dotychczasowy i dotąd jak się Panu zdaje daremny. Tu się tak zwykle dzieje. Za to natrafiwszy przypadkiem na jakikolwiek znak pokładu lub tylko żyły złota, jesteśmy jej właścicielami, i wtedy nic innego czynić nam nie przyjdzie, jak tylko brać pełną ręką i od razu ładować go na nasze muły. Napaści tu żadnej obawiać się nie potrzebujemy, bo tu nie ma nikogo, coby mógł nas dopatrzeć, i naszej prawnej własności nam zaprzeczyć, lub ją nam siłą wydrzeć.”

Pewnego dnia koło wieczora dochodzili oni do góry, po której ciągnęło się wązkie koryto, sączącego się niegdyś z gór strumyka, którego dziś nie było, a po nim suche tylko łożysko pozostało. Gdzieniegdzie wilgotne jeszcze ono było. Tu Jan baczniej przypatrywać mu się począł, i radził, aby tym łożyskiem strumyka postępować coraz wyżej w góry, gdzie spodziewał się łacniej znaleść pokłady złota. Ferdynand, który nadzieję coraz bardziej tracił, prawie bezmyślnie za swoim przewodnikiem postępywać zaczął. Całe łożysko strumyka okazywało czasowy; nagły przypływ wody, która, widocznie wytryskując ze skały, unosiła oderwane z niej drobne kamyki wraz z mułem ziemi, w której coraz głębsze ryła sobie łożysko; kamyki te były różnego kształtu i koloru, a wszystkie prawie krągłe i gładkie, wyraźnie szybkością płynącej wody zcierając się z sobą, tak się same naturalnie ogładziły. Niektóre z nich były rozłamane po połowie. Jan coraz pełniej im się przypatrywać zaczął, dostrzegając w niektórych jakichś punkcików jasnych, świecących, a więc od tego miejsca ściślejsze i dokładniejsze poszukiwania czynić należało. Było to bowiem świecące w kamykach prawdziwe i czyste złoto w nader drobnej ilości. Rozpoczą wyprawę, doradzając Ferdynandowi, aby szedł jedną stronę wyschłego strumyka, sam zaś drugą stroną postępować zaczął.

Im wyżej ku górze postępowali oba, tem gęściej na odłamach kamyków dostrzegali złotego do nich przylgnionego proszku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UFNOŚĆ BEZ GRANIC

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W JEDNYM AKCIE.

— NAPISAŁ —

LEON KAPLIŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Anna.

Oh! tylko nie wchodźmy na pole wad i przywer narodowych, boby to nas za daleko zaprowadziło. Nie odbiegajmy od przedmiotu i zakończmy dyskusyę. Ponieważ okazało się, że nie masz ważnego i istotnego powodu do zostania w domu, więc racz pomyśleć o swem ubraniu, na co ci wspaniałomyślnie przeznaczam 20 minut czasu.

Roman *(załamując ręce.)*

O mojem ubraniu! Chcesz, żebym się ubierał? ale moja biedna Anno, kiedy o ubraniu mowy być dla mnie nie może!

Anna.

Cóż to za nowy wykręt?

Roman.

Posłuchaj i bądź pobłażliwą... zaczytany w moją Revue, ze zbliżającym się zmrokiem poczułem, że chwila stanowczej decyzyi nadchodzi, że trzeba albo zdobyć się na bohaterstwo ubrania się we frak i białą krawatę, albo też mieć odwagę i oznajmić ci, że do pójścia na ten wieczór żadnej nie mam ochoty. Walka była bolesna ale krótka. Uprzytomniłem sobie w wyobraźni wszystkie przyjemności, jakie mnie na owym festynie czekają: ścisk, gwar, gorąco; ekspozycya biustów kobiecych nie ulanych wedle miary Fidyasza, jałowość rozmów, przenikliwy śpiew Panny Celiny i przewrotna polityka gospodarza domu. Na perspektywę takiej pańszczyzny, stałem się jako człowiek upadający pod brzemieniem nieszczęścia, to też upadłem jak długi na kanapę, gdzie właśnie mój Filip rozłożył wszystkie przybory toaletowe, zacząwszy od fraka i kapelusza, aż do białej krawaty...

Anna.

Czy nie mógłbyś skrócić twego opowiadania?

Roman.

...Upadek mój musiał być gwałtowny, ruchy, z jakiemi się na ową kanapę rzuciłem, musiały być energiczne, może zresztą sam nie wiedząc, z pewną lubością gniotłem te szaty godowe dość, że kiedym powstał z kanapy, aby zapalić świecę, mój frak, moja najpiękniejsza kamizelka zbite w kłębek u nóg mi leżały, — *gibus* przybrał fantastyczne kształty, a na dobitkę rzuciłem przez rozgarnienie niedopalone cygaro w leżącą na ziemi białą krawatę. (*Anna zżyma ramionami i przebiera palcami z niecierpliwością.*) Wiem co mi powiesz na to. Powiesz mi, że szkodę naprawić łatwo i że drugą krawatę odnaleźć nietrudno... wszystko to być może.. ale co chcesz moja Anno, kiedy ja w takich drobnych rzeczach przesądny jestem. Wielcy mężowie starożytni, ludzie Plutarcha, nie byli wolni, jak ci wiadomo, od tej słabości. Ja w tym błahym napozór fakcie widzę jakoby ostrzeżenie z góry i od godziny słyszę wyraźnie głos wewnętrzny, który mi mówi: "Nie idź dziś na wieczór do Dziedzickich." Teraz kiedym ci z naiwnością i ufnością dziecięcą wypowiedział wszystko, pozwól mi powrócić do siebie.

Anna.

Mężowie mają różne sposoby robienia

swym żonom naprzekor — bo nazywam robieniem naprzekor, ile razy nie czynicie zadość rozsądnym i słusznym wymaganiom naszym. Są między wami tacy, co umieją powiedzieć *nie* i to w pewien sposób odejmujący wszelką do opozycyi ochotę. Ty mój Romanie do tej kategoryi nie należysz. Nie masz odwagi być tyranem, więc jesteś liberalnym; twe dyspotyczne dążenia osłaniasz kwiatami fantazyi i dowcipu, rzucasz mi w oczy złoty piasek paradoksów, a zachowując pozornie liberalne formy, pozwalasz niekiedy jak *n. p.* w obecnej chwili na wolną dyskusyę. Lecz ta dyskusya wykryła właśnie całą słabość tych argumentów, i wykazała jasno, że mam słuszne i bardzo ważne powody żądać od ciebie byś mi na dzisiejszy wieczór towarzyszył.

Roman.

Czy wolno wiedzieć, jakie są te bardzo ważne powody, bo ja dotąd nic o nich nie słyszałem.

Anna.

Wszak ci powiedziałam odrazu z całą szczerością, że sobie nie życzę i że nie lubię występować w świat sama. Poprzestań na tym jednym powodzie i nie badaj więcej, bo są rzeczy, które najpotulniejsza żona niechętnie nawet najwyrozumialszemu mężowi powiada...

Roman.

Ale które najwyrozumialszy mąż, jeśli ma nieco bystrości, sam odgadnąć powinien. Nieprawda?

Anna.

Być może; odgaduj, jeśli chcesz. I owszem. Nic nie mam przeciw temu.

Roman.

Kobiety lubią być odgadnięte, ale tylko w pewnych wyjątkowych rzeczach... W innych znowu nie cierpią, by ktoś uchylał zasłony, i nie przebaczą nigdy temu, co je odgadnie. Zadanie dla zgadującego drażliwie. Pomylić się łatwo, a nuż się pomylę?

Anna.

Więc bez zgadywania, posłuchaj mej rady i idź się ubierać.

Roman.

Wolę zgadywać... Znam kobietę obdarzoną i wszystkiemi przymiotami duszy i całym urokiem niewieścich powabów. ... ona szanowaną i cenioną w świecie tak, jak na to przez swe zalety i cnoty zasługuje. Nie dość na tem, mogłaby ona zbierać obfity plon owych hołdów i sukcesów, na jakie najuczciwsze kobiety obojętnemi nie są, albowiem wielbicieli różnego wieku i gatunku krążą około niej roje, a gdziekolwiek się w towarzystwie ukaże, słychać jakoby przyspieszone serc bicie i szmer westchnień tłumionych. Podobne tryumfy nie zawracają bynamniej owej kobiecie głowy, lecz budzą w niej jedno gorące, choć zaprawdę dziwaczne pragnienie — oto chciałaby ona także mieć męża swego ciągłym i nieodstępnym owych tryumfów świadkiem!

Anna *(żywo.)*

Jesteś nieprzyjemny i bardzo złośliwy, mój Romanie. Krążysz około prawdy, umyślnie jej nie tykając, aby mnie drażnić i wyśmiać trochę... A zresztą choćby istotnie tak było jak mówisz, czyliż owa kobieta (której urok i powaby szyderczo przesadzasz) — czyliż owa kobieta nie miałaby prawa domagać się przytomności i pomocy męża w pewnych śliskich przejściach, które koniec końców obchodzić tego męża powinny? Czyliż owa kobieta uchodząca jeśli nie za opuszczoną, to za zaniedbaną żonę, ma czekać aż który z owych wzdychających na żarty czy na prawdę, przekroczy granicę przyzwoitości i odważy się wybąknąć coś na kształt wyznania swych uczuć... jak to się już raz prawie że zdarzyło?...

Roman.

A ba!... już się raz zdarzyło! No, proszę.... Inny mąż na mojem miejscu zapałałby gniewem i żądał od ciebie natychmiast nazwiska owego zuchwalca, — ale ja, wystaw sobie, nawet po takiem wyznaniu spokojny jestem, niewzruszony i zemstą wcale nie pałam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)